

Od autora: Pamiętacie mój cykl miniatur z zeszłego lata? Teraz postanowiłem do niego wrócić i oddaję w Wasze ręce nowe miniatury, powstałe w te wakacje i nieco wcześniej, traktujące o różnych odcieniach kochania, o tym, czym może być seks, o poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi, czym jest lub może być miłość, czy zawsze znaczy to samo, a kobieta i mężczyzna, czy niezmiennie dadzą tę samą układankę? O dylematach, jakie pojawiają się gdzieś po drodze. Czy są barierą, czy też drzwiami, które warto otworzyć. Zatem serdecznie zapraszam do wspólnej jazdy!

Kreta, 20 maja – 1 czerwca 1941

Kiedy niemieccy spadochroniarze rozbili nasz batalion, tylko ja uszedłem z życiem.

Choć byłem lekko ranny w ramię, mało mnie to wówczas obchodziło – chciałem przeżyć i jak najszybciej dostać się do swoich, bo już wiedziałem, że mamy w plecy, a Kretę lada moment w całości opanują Niemcy, co oznaczało szybką ewakuację na Cypr lub do Egiptu.

Wytlukli wszystkich moich kumpli, a ja biegłem jak oszalały przed siebie, ściskając w ręku karabin i ostatni granat, jaki mi pozostał po tym, jak napadli nas z trzech stron, przed świtem, i wówczas Johnny, ten twardy zakapior z Nowej Zelandii krzyknął: „Prędzej zdechnę!”

Nawet nie wiedział, że jego słowa okazały się prorocze dla całego naszego oddziału.

Wpadłem do pierwszej lepszej chałupy i padłem jak martwy na podłogę.

Byłem do cna wyczerpany, z trudem oddychałem i bałem się jak nigdy wcześniej.

Oni szybko stanęli nade mną i wnet dostrzegli, że jestem swój, że nie jestem Niemcem.

Podnieśli mnie i delikatnie posadzili na krześle.

Sędziwa kobieta podała mi kubek mleka, który wypilem jednym haustem.

- Dziękuję pani – szepnąłem z trudem.

Nie zrozumiała.

Coś między sobą mówili, czego z kolei ja pojąć nie mogłem, nie znając greckiego.

Jednak szybko okazało się, że znają parę słów po angielsku.

- Ty kto? – zapytał ojciec.

- Jestem Jimmy White, z 19. Australijskiej Brygady Piechoty. Oni tu wkrótce będą. Przechowajcie mnie.

Parę dni. Potem ruszę tam, gdzie wiem, że będziemy uciekać z wyspy.

Ale tylko kilka dni, tu, u was, ok.?

- Ty bił Niemca?

- Tak. Zabiłem ponad stu.

- Ty mieć u nas dach nad głową. Ile chcesz. My ci pomóc, Jimmy. W stodoła nikt cię nie znajdzie. Andrea ci przynosić jedzenie, a ty nie wychodzić. Będzie dobrze.

- Mogę już tam iść? Oni nas tropią po całej okolicy.

- Ty iść tam od razu. Lato ciepłe, słoma ciepła. Dobrze ci będzie, żołnierzu.

Wtedy zobaczyłem ją i poczułem, że robi mi się zimno.

Mała, śliczna Greczynko, nawet nie wiem, co powiedzieć, jak ubrać w słowa coś, co dało kształt temu, co poczułem.

Miałaś dwadzieścia kilka lat i piękną, mądrą twarz, i oczy, które płonęły jak dwa węgle.

Byłem niewiele starszy od ciebie, ale wnet poczułem się kimś, kto musi wykonać pierwszy krok, bo coś w środku gadało, że jesteś mi bliska, jakże bliska, choć zupełnie obca.

Nie umiałem tego wytłumaczyć, ale miałem pewność, że będę do końca życia żałował, jeśli się do ciebie nie zbliżę. Bo tu, na wojnie, takie chwile są bezcenne, każdy pocałunek znaczy tony złota. Stałaś obok mnie z talerzem zupy, a ja, choć głodny, patrzyłem jak oniemiały w twoje oczy i czas zdawał się nie istnieć, głód wydawał się nieistotnym drobiazgiem.

Postawiłem supę na ziemi i pocałowałem cię, gorąco, żarliwie, jakby życie miało się zaraz skończyć, a ty oddawałaś mi się ulegle, czule przylegając ciepłym ciałem.

W pewnej chwili wzięłaś talerz i zaczęłaś mnie karmić, łyżką, jak dziecko.

Usiedliśmy na klepisku i jadłem najsmaczniejszy posiłek na świecie, bo zdawałem sobie sprawę, że już dawno mogło mnie nie być wśród żywych, jednak żyłem, los pobłogosławił, a teraz karmiła mnie piękna, grecka dziewczyna, od której nie mogłem oderwać wzroku.

Czule gładziłem twoje miękkie uda, dotykałem śmiało piersi.

Uśmiech, jaki mi posyłałaś, mówił mi więcej niż wszystkie słowa świata.

Kiedy już zjadłem supę, delikatnie położyłem cię na sianie i rozebrałem.

Zamknąłem drzwi stodoły od środka i zdjąłem mundur.

Natychmiast do mnie przylgnęłaś i poczęłaś całować, jak wygłodniałe zwierzątko rzuca się na karmę, bo skąd mogłem wiedzieć, że w owej chwili poczuliśmy to samo?

Pieściłem twoje sutki, wodziłem językiem po brzuchu, opuszkami palców dotykałem pośladków, wplatałem palce w twoje dłonie.

Kiedy się kochaliśmy, płakałaś, a na twarzy gościł słoneczny uśmiech.

Łzy szczęścia spływały na mnie jak cudowny deszcz, kiedy byłem w tobie, czule, namiętnie, jednocześnie tak, jakbym chciał zdobyć cię na zawsze, i już nigdy nikomu nie oddać.

Moja zaborczość zaskoczyła mnie samego – poczułem, że jest to moja chwila na wieczność.

Że, kiedy wrócę cało z wojny, w żaden sposób nie wymażę cię z pamięci.

Od pierwszego razu stałaś się częścią mnie, mego jestestwa, czucia, kochania, serca, duszy.

Przychodziła kilka razy dziennie i w tej cichej stodole dawała mi swoją kobiecość.

Jakże czule, jakże delikatnie, tak, że zapomniałem, że gdzieś obok trwa wojna i niemieccy spadochroniarze mogą mnie tu znaleźć i rozstrzelać, i nawet nie zdążę się ubrać.

Andrea знаła trochę angielski i jakoś się porozumiewaliśmy, choć dalekie to było od ideału.

Mówiła, że mnie kocha, że pojedzie ze mną do mojego kraju.

Tłumaczyłem, że to niemożliwe, że jestem w wojsku, i zaraz będę w innym miejscu świata.

Prosiła, jak nigdy nie prosiła żadna.

Patrzyła, jak nigdy nie patrzyła żadna.

Chciała mnie jak żadna inna przedtem.

Potem odszedłem stamtąd, choć jeszcze wtedy nie mogłem wiedzieć, że to nie koniec.

Że ani ja, ani Andrea, nie zaznamy spokoju.

Przeczuwając to, poprosiłem ją o zdjęcie.

Dostałem piękne i urocze, i później, kiedy byłem już daleko, wciąż na nie patrzyłem i marzyłem, by znów

znaleźć się na Krecie, w tamtej stodole, z moją ukochaną.
I pamiętałem jej łzy, kiedy patrzyła, jak odchodzę.
Na jej twarzy wymalowało się czyste cierpienie, inaczej tego nie umiem nazwać.
Ten widok miał na zawsze wryć się w pamięć i dręczyć nieustannym nawracaniem.

Pod osłoną nocy z kolegą Anglikiem ruszyliśmy w kierunku plaży.
Mieliśmy wielkie szczęście, że załapaliśmy się na odwrót przez Białe Góry.
Teraz musieliśmy iść do punktu zbornego rozbitych oddziałów, o czym powiedział nam kolega Nowozelandczyk, również ukrywany przez Greków z sąsiedniej wsi, i co więcej, mając radiostację miał wiadomości, że odwrót jest doskonale utrzymywany przez pododdziały brytyjskie, przemieszczające się nocą w kierunku portu.
Po drodze niszczyły mosty i zaminowywały drogi oraz urządzały zasadzki w celu powstrzymania niemieckiego pościgu, i by jak najwięcej żołnierzy dotarło do punktu ewakuacji.
Jak się potem okazało, alianci wysłali na Cypr i do Egiptu piętnaście tysięcy ludzi.

*Niemcy zostali na wyspie i zaprowadzili własne porządki.
Po jakimś czasie dotarło do nas, że ludność cywilna Krety spontanicznie stanęła po stronie wojsk alianckich. Chłopi uzbrojeni w topory, widły, młoty i noże zabijali niemieckich spadochroniarzy, czując, że przyszykowano im tu niezłe piekło. Przyszło im za to zapłacić: Niemcy wymordowali Kastellę, Kandanos i Kondomari, śmiejąc się w nos biednym Grekom, którzy chcieli bronić własnej ziemi i godności, i w późniejszym czasie dokonywali masowych mordów na nich, pamiętając, że plunęli w twarz Hitlerowi, bez względu na konsekwencje.*

Kreta, kwiecień 1952

Nigdy jej nie zapomniałem, nie mógłbym, po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy.
Jej twarz śniła mi się wiele razy, i ilekroć miało to miejsce, rano budziłem się w radosnym nastroju, choć z drugiej strony wiedziałem, że jest już tylko wspomnieniem, czymś, co było, ale już nie jest i to stanowiło w tym wszystkim bolesny kolec tkwiący w mej duszy.
Przez te jedenaście lat szukałem tej pięknej twarzy w twarzach innych kobiet, lecz skutki były opłakane: Andrea weszła we mnie na zawsze i żadna nie była do niej podobna, co z kolei sprawiało, iż większość tych lat spędziłem w samotności, nie licząc na to, że miłość pewnego dnia zapuka do moich drzwi, a wspomnienia staną się rzeczywistością.

Nie pomogło rzucenie się w wir pracy, w którym pragnąłem się bezrozumnie zatracić.
Na nic zdały się wielokrotne „rozmowy” z butelką whisky – i tu nie zaznałem ukojenia.
Nie umialem odciąć się od przeszłości i dlatego nie byłem w stanie zrobić kroku naprzód.
Wiedziałem, że nadejdzie dzień, kiedy będę musiał tam wrócić i cofnąć czas, bo inaczej zwariuję, i nie zmarnowałem go przez te lata – pilnie uczyłem się greckiego, by móc z nią swobodnie rozmawiać, i przekazać to wszystko, co żyło w mnie, odkąd ją wtedy opuściłem.

I stało się – pojechałem na Kretę, by spotkać miłość sprzed lat.

Wciąż pamiętałem jej łzy i to dawało mi nadzieję, że nie związała się z nikim.
Może byłem po prostu niepoprawnym romantykiem – kto wie?
W międzyczasie kupiłem starego Jeepa, który zawiózł mnie pod jej dom.
Zaparkowałem pod stodołą, naszą świątynią kochania i ruszyłem w kierunku drzwi.

Wtedy wyszedł ojciec, i nie muszę dodawać, że wnet mnie poznał.

Nie miał wesołej miny: w jego oczach czaił się ból i gniew, i niedowierzanie.

- Dlaczego wróciłeś, Jimmy? – spytał spokojnie.

- Musiałem, ojcie, to było silniejsze ode mnie – odparłem po grecku.

- Nauczyłeś się języka?

- Tak, tylko dla niej. Dla niej tu jestem.

- Trochę za późno.

- Czemu?

- Niech ona sama ci o tym opowie – i to powiedziawszy, wszedł do domu i zawołał ją.

Po chwili zobaczyłem moją ukochaną: pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, było srebro, które rozlało się obficie po jej kruczoczarnych włosach i nieco przygaszone spojrzenie, lecz wnet dostrzegłem, że wrażenie to zniknęło – Andrea stała i uśmiechała się do mnie jak wtedy, w stodole, choć wyczułem w tym więcej opanowania i wyciszenia.

Na mój widok podbiegła do mnie i rzuciła się na szyję, i nie bacząc na ojca, zaczęła namiętnie całować, w niepojętej, naglej desperacji, jakbym był duchem i za moment już mnie nie będzie.

Mocno ją przytuliłem i poczułem, że coś ścisnęło za gardło i na razie nie jestem w stanie powiedzieć słowa – znów byłem tu, gdzie to wszystko się zaczęło, z kobietą, którą przez te smutne lata kochałem w każdej sekundzie życia, marząc, by ją ponownie mieć.

- Jesteś, Jimmy – szepnęła drżącym głosem.

- Na tę chwilę czekałem przez wiele lat. Nie wiem, co działo się w twoim życiu, ale moje bez ciebie było nic niewarte. Nie zapomniałem cię, musiałem wrócić, bo wciąż czułem, że jesteś moja, tylko moja, i nikt po mnie już cię nie całował, nie pieścił, nikomu nie oddałaś swego młodego kochania. Może to intuicja? Nie wiem. Po prostu wiedziałem, że mam tu znów być.

- Jesteś głodny? – wtrącił się nagle ojciec.

- Trochę – odparłem szczerze.

- Andrea, skocz do spiżarni po jedzenie i przynieś dzban wina. Żona w szpitalu, pochorowała nam się, więc we dwójkę zostaliśmy. Dobrze się trzymasz, Jimmy, wciąż kawał chłopca z ciebie.

- Wy też, ojcie, wyglądacie zdrowo.

- E, to nie tak do końca... - stęknął smutno stary.

- Coś się stało? Coś złego? – zapytałem, widząc nagłą zmianę w jego fizjonomii.

- Niech Andrea opowie, mnie to nie przejdzie przez gardło. To już dwa lata, a ja nadal nie mogę spać, a gniew, jaki mam w sobie, mógłby zabić samego diabła. Synu, ja już długo nie pożyję, ale chciałbym doczekać dnia, kiedy... - tu nagle urwał, patrząc tępo w podłogę.

Wtedy do izby weszła Andrea, i gdy już jedliśmy i piliśmy przednie wino, zaczęła swoją opowieść:

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, kiedy wtedy odszedłeś, Jimmy, kiedy zostawiłeś mnie tu samą, z całą naszą miłością, ale wkrótce dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Z tobą. Tylko ja i rodzice o tym wiedzieliśmy. Wtedy te szwabskie świnię gwałciły tu wszystkie dziewczyny i potem musiały rodzić ich dzieci. Ja byłam tylko z tobą, potem już nigdy z nikim. Niemcy, widząc mój brzuch, mówili, że rasa panów pięknie kwitnie na Krecie.

Apollo był bardzo podobny do ciebie, a w wieku ośmiu lat miał twoją twarz, oczy, usta.

Nie wyglądał jak Grek, był taki piękny, taki mój, jak ty wtedy, kiedy...

Gdy alianci pogonili stąd Niemców, zaczęło się: miejscowi mścili się na kapusiach, dziewczynach, puszczających się ze spadochroniarzami, na każdym, kto miał po drodze z ludźmi Hitlera. Tu ludzki ród okrutny, ale sprawiedliwy, i niezapominający nigdy.

Dziwki golono, inni dostawali na rynku chłostę, ale co on był winien?

Apollo był ośmioletnim chłopcem, którego ojcem nie był pieprzony Szwab, a dzielny australijski żołnierz, ale o tym nikt nie wiedział, bo i dzieciom z Niemców dokuczano.

Był taki chłopak, osiemnastoletni, Achilles się nazywał, i on to wszystko wymyślił.

Był zdemoralizowany i nie szanował nikogo, chyba, że się go bał.

Nie lubił mojego synka, bo powiedziałam mu, że tatuś był Australijczykiem, i że kiedyś nas stąd zabierze. Tamten nie uwierzył i uważał, że Apollo kłamie. Synek nie bał się go i kiedyś powiedział, że jak dotknę mnie w jakikolwiek sposób, to ich zabije. Nie powinien był tego mówić. Tamten to sobie zakodował, i odczekał na odpowiedni moment, uderzył.

Złapali go na plaży – było ich czterech, wszyscy pijani w sztok.

Rzucili go na ziemię, dwóch chwyciło za nogi i rozciągnęło je na boki, a trzeci złapał za głowę, a czwarty kopał w moszną ciężkim podkutym metalem butem tak długo, aż padł ze zmęczenia na piasek.

- Zmień mnie – powiedział do jednego z nich. – Nie będziesz płodzić bachorów, ty niemiecki bękartie. Twoja stara puszczała się ze Szwabami, to oni cię zrobili. Jesteś gnidą.

Kiedy Apollo po długim czasie wyszedł ze szpitala, nie miał już jąder.

Oni jednak nie odpuścili: pewnego dnia, kiedy wracał z pola, napadli go i zabili.

Na czole wycięli nożem swastykę.

- Dość! – jęknąłem ciężko i poczułem, jak niewyobrażalny ból gniecie gardło. – Dość, Andrea. Czy mordercy mojego syna są tu we wsi?

- Tylko jeden, ten co kopał w moszną. Resztę zatłukli po cichu ci, których najpierw skrzywdzili Niemcy, a którzy potem nie pozwolili się krzywdzić swoim.

- Ojczy, daj siekierę, nóż, cokolwiek, dorwę skurwysyna! – poczułem, że krew mnie zalewa, że nie znam spokoju, jak nie zabiję mordercy mego dziecka. Nigdy niepoznanego, niepokochanego, mojego, od teraz już będącego częścią mnie. Miałem do tego prawo, takie panuje na wyspie, tu jest „oko za oko, ząb za ząb”, nie ma mowy o wybaczeniu, i wiedziałem, że gdybym to zrobił, włos nie spadłby mi z głowy.

- Daj spokój, synku, to nie ma sensu – rzekł cicho starzec.

- Andrea prawie osiwała, a ty mówisz tak spokojnie, że to nie ma sensu? Ona ma zaledwie trzydzieści kilka lat, miała radość życia, której ja nie mogłem jej dać, i teraz mam to tak zostawić?

- Pewnego dnia – zaczął ojciec – dopadli go w lesie i metalowymi prętami połamali nogi i ręce. Uszkodzili kręgosłup. Dziś jest na wózku. Jest tylko ciężarem dla rodziny. Chcesz iść go zabić, dobrze, siekierę ci zaraz dam. Zabij go jak psa, miejmy to już za sobą. Zrobisz to?

- Na wszystko za późno, Jimmy – powiedziała spokojnie Andrea. – Teraz mamy tylko siebie. Pamiętasz, o co prosiłam cię wtedy, w 1941? Żebyś mnie stąd zabrał, tam, gdzie ty jesteś. Jakże wtedy pragnęłam, by być obok ciebie, dzień i noc. By cię czuć cały czas całą sobą. Ja nigdy nie kochałam. Nie wiedziałam, czym to jest, aż wtedy pojawiłeś się ty. I zostałeś, w mojej głowie i sercu. Wszystko było już tobą, tylko tobą, choć nie było cię przy mnie. Śniłeś mi się wiele razy, a wszystko było takie realne. I mijały dni byle jakie, dni bez ciebie. Każdy z nich miał gorzki smak. Zbyt wiele cierpienia, zbyt wiele bólu na tej wyspie. Nie chcę tu być. Po co przyjechałeś? Spędzić z nami parę dni i wrócić do swego pięknego świata, jakby nigdy nie?

Wtedy przytuliłem ją i powiedziałem:

- Chcę cię stąd zabrać. Chcę, byś była moją kobietą do końca życia, twojego lub mojego.

Po to przyjechałem z tak daleka. Zabieram cię, a wy, ojczy, nie bójcie się: będziemy was często odwiedzać, wyremontuję wam dach, zwalimy słomę ze stodoły i damy dachówkę.

Ja jej nie zabieram, pamiętajcie, my zbyt długo czekaliśmy na siebie, by to odwlekać. Przez wiele lat byłem architektem, ale wspólnik wpędził mnie w kłopoty i się skończyło. Zamieszkałem w domu na plaży, w okolicy Perth. Mam trzy duże pokoje, kuchnię i łazienkę. Pieniądze, które zgromadziłem przez te lata idą na bezdomnych. Sam kiedyś byłem dzieckiem ulicy, teraz chce spłacić dług. Sporo mi zostaje, więc starcza na życie – reszta idzie na tych, którzy nic nie mają. Czemu to robię? Bo Bóg dał mi cało wrócić z wojny. Modliłem się, żeby nie trafił mnie snajper, by nie zabił potem Japończyk. Widziałem ścinanych mieczem samurajskim chłopców z Nowej Zelandii. Ich głowami potem grano w piłkę. Ale to się skończyło, to już koniec. Powoli to zapominam, nie chcę być więźniem koszmarów.

Będzie nam dobrze, mam nowoczesny kuter, łowią ryby, mam trzy wędzarnie, ludzie chętnie kupują moje ryby. Sprzedaję sporo tuńczyka i łososia. Znalazłem sposób na życie. Damy radę, może to nie Grecja, ale zawsze inny kawałek pięknego świata.

Okolice Perth, Australia, 1954

- Jakie imię wybierzemy? – spytałem, dopalając *pall malla*.
- Apollo.
- On przecież ciągle żyje, choć już dawno odszedł.
- Właśnie dlatego. Matka wie najlepiej. On jest we mnie, choć go nie ma.
- On nie żyje.
- W sercu matki nigdy nie umrze.
- Dlatego?
- Ksiądz Joseph go ochrzci, i da mu po nim imię. Niech Bóg będzie dla niego bardziej łaskawy.
- Bóg bywa cwany graczem, którego nigdy nie przechytrzysz.
- Mój Bóg nie zawiedzie mnie drugi raz. Tym razem to wiem. To jest we mnie.
- Nie byłby twoim Bogiem.
- Właśnie dlatego. Ufam Mu, i wiem, że nie pozwoli nam upaść.

Potem często chodziliśmy z wózkiem po plaży, patrząc, jak mały słodko śpi. Tulilem ją w ramionach, i tkliwie pieszcząc, szeptałem, że nic nas już nigdy nie rozłączy. To, co złe, na zawsze odeszło i nie ma już do nas dostępu, teraz my jesteśmy górą. Czas stanął w miejscu, bo czas jest przyjacielem, potrafi się dostosować. I całować każdego poranka czule radosnym świtem, dawać to, na co nie ma słów. Andrea była bardzo spokojna, jakby urodziła pierwszy raz, jakby tego pierwszego nigdy nie było – jednak nie zapomniła: *wielokrotnie życzyła zdrowia oprawcy na wózku*. Wybaczyła, lecz nie zapomniła, nie chciała żyć nienawiścią, pozostawiając to za sobą.

Kiedy później jedliśmy wędzone ryby, zagryzając oliwkami i marynowanym czosnkiem, powiedziała jakże lekko, jakże uroczo:

- Mamy raj, Jimmy, czy trzeba czegoś więcej?
- Nie, Andrea, nam nie trzeba już niczego, nigdy nie wymarzyłbym czegoś lepszego.
- Tylko budzić się we własnym niebie, i dziękować Bogu, że był obok, że nie porzucił.
- Że zawsze wie, kiedy się pojawić.
- Czy wtedy, tam, w stodole, już wiedziałeś? – spytała.
- Byłem pewien – odparłem, uśmiechając się i gładząc ją po policzku.
- Czy ta *bajka o dwóch połówkach jabłka* to prawda?
- Tak. Chyba najpiękniejsza.

- Więc może przejdziemy się na plażę? Jest taki gorący wieczór. Zrobimy sobie ognisko, mam dobre wino, są soczyste tuńczyki. Spójrz na księżyc – on daje nam znaki. Małego przypilnuje ciocia Peggy.
- Jasne, kochanie, w taki wieczór pójdę z tobą wszędzie.

Cykl: *Dziewięć liter, dwa słowa, jedno znaczenie*

1 sierpnia 2016

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 25.08.2016 10:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.